№ 21. 25. Maja 1850.

# TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłaja się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

## *Piśmiennictwo perjodyczne w Poznańskiem.*

### I.

Stan piśmiennictwa czasowego w Poznańskiem o którem dawno winniśmy Czytelnikom naszym zdać sprawę, przedstawia najlepiej broszurka pod nap: „*O pismach czasowych poznańskich*". Broszurka ta jako polityczna, jest napisana ze stanowiska stronnictwa, najoświeceńszego i najmniej jednostronnego ze wszystkich: stronnictwa które sprzyja *narodowości* ale nienawidzi „wsteczników chcących z egoizmu swego zrobić narodowość" i uważających *swoich* przeciwników, a przyjaciół postępu, za przeciwników *narodowości:* stronnictwa które sprzyja *katolicyzmowi* o ile takowy jest środkiem do podniesienia między ludem oświaty i godności narodowej, (jak w w. ks. Poznańskiem); ale nie gdy takowy jest używany za środek do ujarzmienia ducha i stłumienia narodowego uczucia. —

Broszurka nie mówi o wszystkich pismach wychodzących w Poznaniu tylko „*Przegląd poznański,*" „*Gazeta polska,*" „*Dziennik polski,*" „*Gazeta niedzielna wielkopolska,*" „*Wiarus* i *Wielkopolanin*" są tejże przedmiotem. — Niemogąc o pismach tych, zabronionych u nas, mówić z własnego przekonania, niewahamy się zapoznać Czytelników z duchem tychże przytaczając zdania wspomnionej broszurki, które są zupełnie zgodne z naszym sposobem myślenia. —

*Przegląd poznański,* był oddawna pismem wychodzącem zeszytami co miesiąc; zawiera rozprawy czasem dość gruntownie, czasem bardzo płytko pisane, najwięcej politycznej, historycznej, i religijnej treści; poezje, najwięcej małej wartości; krytyki dobre, ale szperające w każdym prawie literackim utworze za niekatolickim i postępowym duchem, (którego Przegląd jest nieprzyjacielem); i nareszcie korrespondencje literackie i poglądy polityczne tchnące nabożnisiostwem i wstecznością a odznaczające się nawet często wykrzywianiem faktów.

Autor broszurki wykazawszy stanowisko i zabiegi stronnictwa wstecznego w Poznańskiem wyraża się o *Przeglądzie* w sposób następny:

„Najwyraźniejszym organem tego stronnictwa (wsteczno-katolickiego) jest *Przegląd Poznański.* Wydawcy jego chełpiąc się, że od początku wydawania dotychczas, nie zmienili swych zasad, mylą się w dacie. Oni nie zmienili się od czasów Zygmunta III. tylko przybrali nowe środki obrony."

Jakież to są te środki? Autor opisuje nam je w następujacy sposób:

Wskazawszy iż *Przegląd* który został na owym zastarzałym stanowisku, jest „*dziaduniem na dewocii, którego jedynym udziałem modlitwa*" bo go postęp wyprzedził; przedstawia dalej iż tenże *Przegląd* czyni jak „owi ludzie, którzy dogadzając upodobaniu w drobiazgowości zaszywają w skórę szczenięta aby nie rosły. Otóż Prz. pozn. chciałby za pomocą swoich przepasek *zrobić z ducha ludzkiego, wieczne szczenię potulne,* posłuszne, potrzebujące opieki." Gdy jednak już nie może krzyżować ani palić jak dawniej, ani straszyć smołą i diabłami jak pewne „*towarzystwo*", więc używa zamiast ognia, wody t. j. „dowodzi rozumem że rozum jest niebezpieczny, że zgłębianie i dociekanie wszystkiego, że wątpienie o nieomylności powag i objawień, że dążność do zupełnego usamowolnienia ducha, *jest chętką antynarodową, zuchwalstwem protestanckiem,* że są prawdy prawdziwe, choć ich zrozumieć nie można, zobowiązujące, choć niezrozumiałe. Przystańmy na te twierdzenia, o już samotrzask jest gotów, z którego nie sposób wydobyć się, w którym każda myśl nasza jest wolną, aż po druty ścian. Jak ręka robi kajdany na ręce, tak środkami ducha więzi się ducha, wprowadza despotyzm moralny, za którym idzie niewolnictwo ciała.

Autor wykazuje dalej; iż Prz. pozn. „aby się zasłonic od zarzutu że miłość ojczyzny, że domaganie sprawiedliwości politycznej przerabia w zagorzalstwo religijne, usiłuje z katolicyzmu zrobić narodowość, czy z narodowości katolicyzm" (jak w ogóle stronnictwa wsteczne robią z zadawniałych stosunków narodowość); nareszcie, iż dążności Przeglądu pozn. są nieprzyjazne wzrostowi ducha i szkodliwe sprawie polskiej. Tyle o Przeglądzie — musimy jednak przytoczyć jeszcze kilka uderzających twierdzeń Autora:

„Jeżeli Prz. pozn swieżo zakazany w Austrji katolickiej, „po takim wyjaśnieniu nie zostanie na powrót pozwolony,

„nawet zaproszony, to trzeba wnioskować że w rządzie jest „iskierka życzliwości dla kraju, bo w Polsce rakuzkiej wi„dzą jasno że nie katolicyzm stanowi narodowość.

„Katolicyzm jest tylko w ks. Poznańskiem bardzo ważnym czynnikiem politycznym i to tylko *dla ludu:* ale nie wten sposób używany jak go Prz. pozn. używa, i nie dla tych dla których Przegląd pisze. Bo on czyni to wsposób krępujący wolność myślenia, wsposob tamujący wszelki postęp."

Nareszcie zdanie o ks. Kajsiewiczu:

„Ecclesia est militans, a po wojskowemu ukazu żołnierz „niemoże się wdawać w rozprawy. Walczy za tego na „czyim żołdzie. To też poczciwy ułanisko! nic nie dowodził, walił kazaniem jak pałką."

## Pierwsza wyprawa polska pod Wiedeń. 1515.

(Dokończenie.)

Obok słabego starca Władysława wyglądał nasz Zygmunt nader swietnie. Był on w samem południu lat. Dorodną budowę ciała, połączoną z siłą, która powrozy targała i podkowy kruszyła, zdobił kosztowny strój rycerski. Z oczu mars patrzył, ale znana pobłażliwość ojcowska wszystkich serca neciła. Zresztą rozważny w każdym kroku ale śmiały i pełen szlachetnego zaufania w szlachetność ludzką, małomowny ale żartki w postępowaniu a czasem nawet porywczy, mierny w życiu powszedniem, surowy względem siebie, ale hojny dla drugich — celował nasz Zygmunt charakterem i osobą nie tylko nad bratem Władysławem, lecz nad wszystkimi prawie królami owego czasu, płochymi jak cesarz Maxymilian, barbarzyńskimi jak Wasil Iwanowicz, tyrańskimi jak żonobójca angielski Henryk VIII. chytrymi i srogimi jak ojciec św. inkwizycyi Ferdynand katolicki, nawet nad dobrodusznymi lecz chciwymi jak Ludwik XII. francuzki.

Powitanie było serdeczne. Król Władysław zapłakał rzewnie. Zygmunt zwrócił zaraz myśl ku porozumieniu się względem dobra spokrewnionych państw jagiellońskich. Rozpoczęły się wnet narady. Zgodzono się ostatecznie na spełnienie woli Boga i ludzi i połączenie młodego pokolenia jagiellońskiego z habsburskiem. Wróżyła nadzieja, że zawarcie tych stosunków przyjaźni i powinowactwa z domem rakuzkim rozprzestrzeni jeszcze dalej po Europie węzeł między-narodowego braterstwa, który już Polskę, Litwę, Prusy, Czechy, Węgry kojarzył. Pewną zaś zdało się rzeczą, że przynajmniej cesarz Maxymilian na tak przyjazne domowi swemu chęci Jagiellończykow skwapliwą gotowością dotarcia z nimi związku, rychłem przybyciem do Presburga odpowie.

Atoli cesarz nie spieszył teraz na zjazd. Przywiodłszy Jagiellończyków kilkuletniemi zabiegi do obecnej przychylności dla siebie, chciał on coraz więcej uzyskać. Chciał dla zadowolnienia swej próżności i pychy, aby nie on, cesarz i pan chrzescijaństwa, po łaskę do Jagiellończyków, do węgierskiego Presburga zjeżdżał, lecz aby dobrotliwi Jagiellończycy w jego własnym progu, w ziemi rakuzkiej, łaskę swoją pod stopy mu złożyli. Nadto zachodziła w owych czasach powszechna pomiędzy panującymi nieufność, usprawiedliwiona mnogiemi przykłady wzajemnych wiarołomstw, podstępów, gwałtów. Toć pierwszy teść Maxymiliana, Karol Smiały Burgundzki, więził przybyłego do siebie w gościnę potężnego króla Francyi, Ludwika XI. Toć sam Maxymilian był przez własnych mieszczan flamandzkich podobnym podstępem pojman i więzion w Brudze. Ztąd znana nienawiść Węgrów ku cesarzowi kazała lękać się bezbronnego wkraczania w ich granice, a niewdzięczna duma cesarska nadymała Maxymiliana chęcią zamienienia postaci proszącego w postać upraszanego. Pewien tedy wytrwałości Zygmunta polskiego w zagajonych raz układach, ociągał się cesarz z przybyciem, a zamiast osobistego zjazdu trzech królów wszczął się tylko między obecnemi ich stolicami, Presburgiem i Augsburgiem a później Wiedniem, nadzwyczaj żywy i długi, bo przeszło trzy miesiące trwający ruch poselski.

Naprzód zjechali czterej posledniejsi posłowie cesarscy do Presburga. Potem przybył tam kardynał Mateusz, biskup Gurceński. Powziąwszy wiadomość o stanowczem zezwoleniu królów na swadźbę, odjechał nazad do Wiednia, oznajmił cesarzowi czemprędzej skutek swego poselstwa i wrócił znów do Presburga, aby warunki przymierza i małżeństwa na piśmie ułożyć i podpisać. Stwierdzono więc pieczęciami, że młody Jagiellończyk Ludwik z Rakużanką Marją, księżniczką burgundzką, wnuczką cesarza Maxymiliana, a Jagiellonka Anna z cesarzem Maxymilianem w imieniu jednego z jego wnuków, Ferdynanda lub Karola, braci Marji burgundzkiej a synów Filipa i Joanny Hiszpańskiej poślubieni zostaną. Po takiem spisaniu preliminarjów pobieżał kardynał do cesarza w celu przyspieszenia jego przybycia. Z temże samem ruszyli za nim do cesarza ze strony króla Władysława czterej posłowie, do których Zygmunt polski Piotra Kmitę, zdawna ulubieńca cesarza Maxymiliana przyłączył. Na ich usilne przedstawienia że królowie dłużej czekać nie myślą, zbliżył się cesarz z Augsburga do Wiednia, starając się ciągle o uwolnienie się od potrzeby zjeżdżania do Presburga a sprowadzenie królów do siebie. Przywiodły to jego życzenie do skutku nowe poselstwa, mianowicie czesko-węgiersko-polskie, wyprawione z powitaniem do Maxymiliana w Wiedniu, i cesarskie w tymże samym celu do Presburga, złożone z dwóch książąt rzeszy, jednego arcybiskupa, jednego biskupa i kilku dygnitarzy. Przywiedli oni wolę cesarską tem snadniej w skutek, ile że w ciągu tego długiego poselstwowania miasto

Presburg do szczętu pogorzało, a oszpecone dymiącemi się jeszcze gruzami, za weselny przybytek tak świetnemu zgromadzeniu królów służyć nie mogło. Ułożono tedy, iż osobiste powitanie się królów nastąpi między Presburgiem a Wiedniem, w ziemi rakuzkiej. Przeciągnęły się te dyplomatyczne przygotowania od początku wiosny do pół lata. Mimo wszelkiej rozwlokłości kosztowały one Niemców tyle wytężenia sił, iż nawet jeden z posłów cesarskich swoją gorliwość poselską życiem przepłacił. Wyprawiony od Maxymiliana książe Munsterburski, płynąc Dunajem do Presburga, utonął z pospiechu w rzece. W końcu przecież stało się zadość uroszczeniom cesarskim, nadeszła chwila spotkania się monarchów.

Na wpół drogi między Presburgiem a Wiedniem rozlega się szeroka równina. Na leśnym jej widokręgu szarzeją z trzech stron trzy miasteczka — od strony wiedeńskiej Trautmansdorf, od strony węgierskiej Haimburg, ku południowi Bruk. W pośrodku równiny wznosi się nagi wzgórek. Tam w letniej nocy z dnia 15 na 16 lipca krzątał się z rozkazu cesarskiego tłum ludzi, zajęty wkopywaniem na wierzchu wzgórka rozłożystego drzewa, olbrzymiej gruszy. Pod nią, jakoby pod zielonym namiotem, mieli nazajutrz powitać się monarchowie. Aby tam wcześnie stanąć, opuścili oni dniem wprzódy Presburg i Wiedeń i nocowali z całym dworem w okolicznych miasteczkach — Maxymilian w Trautmansdorfie, Władysław z dziećmi w Bruku, Zygmunt w Haimburgu. Z rana dnia 16 lipca ruszyli wszyscy z osobna ku wyznaczonemu wzgórkowi. Nasamprzód przybył tam cesarz, ale nie chcąc czekać gości na placu, ukrył się z całym dworem w cienistym w pobliżu gaju. Nareszcie okazały się zdala orszaki królów. Z jednej strony jechał stary Władysław w lektyce, mając obok siebie dziewięcioletniego króla Ludwika na koniu a dwunastoletnią królewnę Annę w bogato przyozdobionej kolasie, dokoła zaś, w tysiąc kilkaset koni, wybór węgierskiej i czeskiej, duchownej i świeckiej szlachty. — Z drugiej strony, otoczon zarówno licznym dworem polskiej, litewskiej ruskiej i pruskiej szlachty, świecącej przepychem najróżnobarwistszych, kosztownych strojów, zbliżał się Zygmunt konno. — Natenczas wyjechał cesarz z gaju i zmierzał ku wzgórkowi. Wystąpił on nadmiar świetnie. Naprzód ciągnął hufiec dwustu zbrojnych w harnaszach i czerwonych żupanach. Za nim orszak dworzan cesarskich z gronem mieszczan i bogato wystrojonych kupców wiedeńskich. Dalej trzynastu paziów w czarnych axamitnych sukniach, na koniu, sześciu szambelanów z tłumem trębaczy i cymbalistów, i szereg odźwiernych z białemi laseczkami. W końcu sam cesarz, w lektyce, wewnątrz czarnym axamitem wybitej a zewnątrz szkarłatem osłonionej. Zboku po obu stronach szło mnóstwo xiążąt, grafów i szlachty, wszyscy w czarnym axamicie. Za cesarzem kardynał Mateusz, pomiędzy ambasadorami hiszpańskim i angielsk im. Za tymi konny orszak urzędników dworskich, także czarno przybranych. W odwodzie, w 1800 koni, rycerstwo w świetnym rynsztunku, o wysokich pióropuszach, z bujno powiewającemi proporcami.

Zbliżywszy się na kilkadziesiąt kroków ku drzewu, stanęły wszystkie orszaki. Ceremonialność i ciągła jeszcze nieufność hamowały krok każdy. Wyprawiono jeszcze wzajemnie kilku posłów do siebie. Porozumiano się przez nich, aby żaden z monarchów z lektyki ani z konia w powitanie nie zsiadał. Poczem król Zygmunt, któremu jak główna w obec Habsburgów zasługa ostatecznego dopuszczenia na zjazd ten przynależała, tak też przy moralnej i fizycznej nieudolności Władysława gospodarcze ze strony jagiellońskiej początkowanie we wszystkich krokach tego kongresu przypadało, wysunął się ze swoim dworem naprzód i pierwszy pod drzewem stanął. Prawie jednocześnie przybył tam i cesarz Maxymilian, kazawszy odsłonić lektykę. Niezwłocznie zbliżył się i stary Władysław z dziećmi. Wtedy młodziany Ludwik skłonił się nasamprzód cesarzowi. Za nim podniosła się królewna Anna w swojej kolasie i uprzejmem skinieniem głowy witała. Cesarz Maxymilian podał z lektyki wszystkim królewskim gościom rękę do uściśnięcia i w radośnem uczuciu osiągnienia najwyższego domowi swemu błogosławieństwa, ozwał się po łacinie: »Oto dzień, którego nam Bóg użyczył. Cieszmy się nim i radujmy!» Na co Zygmunt, w każdej chwili o swoich poddanych pamiętający, podobnież po łacinie: „Oby ten zjazd równie nam jak i naszym poddanym i całej rzeczypospolitej chrześcijańskiej ku pożytkowi posłużył.» Król Władysław rozpłakał się po swojemu i zaledwie słowa Zygmuntowe powtórzyć zdołał.

Po pierwszem powitaniu nastąpiła chwila przerwy, w której monarchowie z pod swego drzewa na wzgórku z upodobaniem na szeroko po całej równinie świecący wybór tyla narodów okiem powiedli. Przeszło pięć tysięcy zbrojnego, strojnego ludu pokrywało równinę. Pomiędzy nim xiążęta, kardynałowie, najprzedniejsi całej prawie Słowiańszczyzny panowie, najświetniejsze rycerstwo. Wszyscy jak na weselne gody, w klejnoty, perły, axamity, złotogłowia, złote łańcuchy przybrani. Niemcy odznaczali się czarnością stroju i mnogością rycerskiego rynsztunku. Ludy słowiańskie celowały różno-kolorowym przepychem strojów i rzędów, pięknością koni. Blask lipcowego słońca, odpowiednia weselnemu zjazdowi radość, obecność pięciu koronowanych głów różnego wieku i stopnia, podnosiły świetność uroczystości. Co do liczby i dostojeństwa zebranych gości byłto jeden z najwspanialszych zjazdów, jakie znane są w dziejach. Co do celu swojego, celu spowinowacenia dwóch szeroko po całej Europie rozgałęziających się domów królewskich, pobratania

spokojem i miłością tylu różnoplemiennych narodów, nie miał on sobie równego. „Zaprawdę, błogosławiony to był dzień!” — prawi spółczesny rakuzki dziejopis Birken — „Przychylił on bowiem dwie korony, Hungarję i Bohemję, arcyksiążęcemu domowi.” A to przychylenie było darem dobroci jagiellońskiej. A ostateczne zezwolenie na dar ten było łaską polskiego króla Zygmunta! A właściwymi zwierzchnikami, łaskodawcami tego mnogo-narodowego zjazdu byli Polacy!

Po chwili, najznakomitsi panowie wszystkich narodów przystąpili do ucałowania ręki monarchów. Gdy się ceremonja ta ukończyła, wysłany od cesarza kardynał Mateusz zaprosił królów jagiellońskich na dalszy czas zjazdu do Wiednia. Tak niespodziewane przedłożenie, mające uwieńczyć cesarską pretensję przyjęcia ofiary jagiellońskiej w swym własnym domu, poruszyło do najwyższego stopnia panującą między ludami i królami nieufność. Senat węgierski oświadczył się gwałtownie przeciw tym zaprosinom. Natenczas w obec śmiesznych i niewdzięcznych uroszczeń pychy cesarskiej zajaśniała w najpiękniejszem świetle dobra wiara i szlachetność króla polskiego. „Opuściłem Polskę, ziemię rodzinną” — rzekł on do kardynała — „abym się widział z cesarzem. Przeto nie tylko do Wiednia, ale dokądkolwiek cesarz zażąda, udam się chętnie. Tuszę bowiem o nim, jako o prawym, zacnym monarsze”. Poczem obróciwszy się do swoich, dodał: „Odprowadzę brata mego z dziećmi do Wiednia. Czyja wola, za mną!” Te słowa pociągnęły całe zgromadzenie jagiellońskie. Uradowany cesarz powziął odtąd najszczerszy szacunek dla Zygmunta. Pożegnano się postanowieniem zjechania się nazajutrz w otwartem polu przed Wiedniem, i odbycia pospołu uroczystego wjazdu w bramy stolicy.

Stało się, jak ułożono. Odbył się okazały wjazd do witającego monarchów z nieskończoną radością i wystawnością grodu cesarzów. Potem bankiet, tańce i krotofile w noc poźną. Nazajutrz i w dnie następne uroczystość po uroczystości, obrzęd po obrzędzie, uczta po uczcie, turnieje, igraszki, pląsy, wzajemne upominki! Trwało to przez dni dziesięć. Brak miejsca nie dozwala nam szerokich kreślić opisów. Przypomnim tylko kilka szczegółów.

Trzeciego dnia po wjeździe do stolicy zgromadziła się rada solenna. Osobiste przewodnictwo w niej trzech monarchów, obecność trzech senatów, użyczały jej niezwykłej powagi i dostojności. Zapewniono sobie po raz ostatni poślubienie dzieci koronnych z prawem wzajemnego odziedziczania się przez oboje małżonków. Co, jakeśmy już nadmienili, właściwie tylko Habsburgom korzyść wróżyło, ile że słabowitość Ludwika niemylną siostrze Annie i jej habsburgskiemu małżonkowi nadzieję rychłego odziedziczenia po nim Czech i Węgier dawała. Prócz tego przyrzekł cesarz odstąpić przymierza z w. kniaziem moskiewskim, przywieść go do pokoju z Zygmuntem i zaniechać podburzczania księcia pruskiego.

We trzy dni po tej radzie odbyły się podwójne zaślubiny. Można sobie wyobrazić przepych tej uroczystości. Obiedwie pary ślubne, królowie jagiellońscy, legat papiezki, ambasadorowie wszystkich prawie państw europejskich, wszyscy obecni zjazdowi xiążęta i panowie zebrali się strojno w tumie św. Szczepana. Po nabożeństwie, cesarz, w cesarskim ornacie, wartości miljona złotych, wstąpił z całą rodziną jagiellońską i wnuczką swoją Maryą na umyślnie ku temu przyrządzone podwyższenie. Tam kardynał-arcybiskup Strygoński poślubił go z królewną jagiellońską. Po skończonym obrzędzie rzekł cesarz do niej: „Daliśmy waszej miłości słowo, iż będziecie naszą małżonką. Stało się to jednak w imieniu naszych obudwóch nieobecnych tu wnuków. A ponieważ mój wnuk *Carolus* korony kastylską i aragońską, jego zaś brat *Ferdinandus* Neapol ma odziedziczyć, przeto witamy waszą miłość mianem królowej i chcemy królewską przyodziać was koroną.” Co też rzeczywiście uczynił. Poczem nastąpiło poślubienie dziewięcioletniego króla Ludwika z również młodzianą arcyxiężniczką Maryą. Zamknięto uroczystość obrzędem pasowania pewnej liczby rycerzy i udano się z tumu na gody.

Trwały one przez cały tydzień. Przez cały tydzień szumiał Wiedeń weselnym gwarem biesiad, turniejów, pląsów, krotofil, ożywionych bezprzykładnem dotąd w tych stronach spółuczestnictwem i zawodnictwem tyla narodów, języków, obyczajów. Po rannem nabożeństwie następowały zwykle gonitwy, po tych bankiet dworski, wreszcie różnorakie igraszki. Jednego wieczora bawiło się grono monarsze w karty. Cesarz Maxymilian zaprosił króla Władysława, swoją oblubienicę Annę i młodzianych nowożeńców Ludwika z Maryą do stołu, okrytego kilkaset złotych i srebrnych monet z wizerunkiem cesarskim, o które grano. Sam cesarz nic nie wygrał, król Ludwik nie wiele, najwięcej zaś Anna, co za szczególnie szczęśliwą wróżbę poczytano. „Przy czem mnogo krotofilnych błysnęło żartów” dodaje spółczesny Birken. Tymczasem poważny Zygmunt, nieobecny tej kosterskiej rozrywce, siedział nocą w swojej komnacie, i jak w półtora wieku później inny król polski zpod Wiednia do swojej „Marysieńki,” tak on do swojej królewskiej Barbary serdeczne w odpowiedź pisał listy. „Najjaśniejszy panie!” pisała doń królowa — „Gdy czas zwyczajnie ludzkie strapienia zmniejsza, mój smutek z tak długiego oddalenia w. k.m. powiększa się z dniem każdym, rośnie z dniem każdym tęsknota obaczenia się z wami. Nie wiem co w. k. m. tak długo zatrzymuje. Wiem że cesarz jm. przybył. Nie chciałam wyprawiać gońca z zapytaniem co się tam dzieje. Ale upraszam w. k. m. pokornie, chciej mi oznajmić, kiedy jego pożądany powrót nastąpi.” — „Najjaśniejsza królowo pani i żono moja najmilsza!” odpowiadał król Zygmunt. — „Od czasu rozła-

czenia się z wami, smutne były wszystkie dnie moje... Za pomocą Boga ułożyły się wreszcie rzeczy w ten sposób, że i w. k. m. i miłe dzieci nasze i my sami i poddani nasi pomyślnej spodziewać się możem przyszłości. Widzieliśmy się z cesarzem. Zapewnione małżeństwa. Książe pruski zobowiązany do hołdu. Cesarz własnoręcznie napisał do cara moskiewskiego, upominając go by się w pokoju zachował. Słowem, wszelkiej przychylności i prawdziwie braterskiego affektu od cesarza doznajem. Przepisanie i podpisanie traktatów, załatwienie spraw innych, dla dobra poddanych moich wielce pożytecznych, jeszcze mię tu zatrzymują. Zwłokę tę nagrodzą szczęśliwe dla poddanych mych skutki. Ukończywszy wszystko, pospieszym w drogę, by w. k. m. jaknajrychlej oglądać."

Jeźli ten „braterski affekt" cesarza, te nadzieje „szczęśliwych skutków," później zawiodły, nie były one przecież bezzasadne naówczas. Toć Polska i Zygmunt, „przychylając domowi rakuzkiemu dwoją koronę," kładąc tem węgielny kamień przyszłej jego wielkości, mieli zaiste prawo do najświetniejszych nadziej. Jakoż wszystko podniecało je wówczas, wszystko czciło, wysławiało Polaków w Wiedniu. A Polacy, istotni bohaterowie tego zjazdu, rozpromienieni blaskiem swojej łaskodawczej tu roli, popisywali się okazałością swoich dostatków, swojej odwagi, swej wesołości, napełniali sobą całą stolicę. Król Zygmunt, ująwszy sobie serca swojem śmiałem zaufaniem w prawość cesarza, zdumiewał bogactwem swego skarbcu, swoją hojnością. Jeszcze w Presburgu zdarzyło się, że dwór Władysława nagle bez grosza się znalazł. Wtedy Zygmunt, gość, darował swemu królewskiemu gospodarzowi 12,000 złt. na utrzymanie dworu. W Wiedniu na podarunki cesarskie odpowiedział Zygmunt wspaniałemi dary Maxymilianowi, kosztownemi upominki całemu dworowi cesarskiemu. — Szlachta polska dziwiła dumą swojej wolności. Gdy cesarz przedniejszym panom polskim tytuły xiążąt i grafów chciał nadać, nie przyjęli oni tego zaszczytu, twierdząc iż najdostojniejszą ich ozdobą — wolność i równość. — Rycerstwo polskie celowało męztwem i wprawą. Młody 23letni Mazur Radzimiński zwalczył w publicznych zapasach, na które cała stolica się zbiegła, niezwyciężonego dotąd olbrzyma — Czecha Sztybica. — Nawet sztuki polskie, owa kapela Radziwiłła i Gasztołda, głosiły sławę poloru Polski i Litwy. „Przystrojeni z kozacka muzykańci, z szablami i z sajdakami, na krzywych bótach, zawżdy przed cesarzem msze i nieszpory spiewali, z wielkiem podziwieniem postronnych narodów i Niemców i Włochów, którzy w tych stronach litewskich naród być gruby przedtem rozumieli." — I nie mogło też być, aby w ciągu kilkutygodniowego wesołego zjazdu wesoła drużyna polska nie zostawiła po sobie pamięci jakiegoś sprytnego figla. Jednego razu dworscy niemieccy przymawiali Polakom że mają małe i chude konie. Chcąc się zaś własnemi końmi popisać, przyprowadzili niezmiernie spasłego konia, fryza, którego Polacy zaraz kupili, zapraszając Niemców na obiad. Zasiadają panowie Niemcy, Polacy częstują rozmaitemi potrawy z jeleniego na pozór mięsa, a w końcu przynoszą na ogromnym blacie głowę końską i nogi z kopytami. Niemcy zjedli własnego konia — chyba tylko na tłustą pieczeń przydatnego.

W ostatnią rozrywkę zaprosił cesarz królów na łowy do Najsztadu. Tam się też po trzech dniach zabawy pożegnano. Król Władysław z synem Ludwikiem wrócił smutny do Węgier. Siostra Ludwika, Anna pozostała z swoją młodzianą bratową Marią na wychowaniu w Wiedniu. Cesarz udał się w swoją stronę do Niemiec. Zygmunt ruszył na Wiedeń, gdzie jeszcze dla pożegnania królewien i wylewu Dunaju przez trzy dni zabawiono, nazad do Polski, do Krakowa.

Dopiero teraz przypomniano sobie, jak dobrze mistrz Maciej wróżył, że król przed 16 lipca nie obaczy cesarza. A rozprawiając wiele o tej przepowiedni, trwożono się, aby i reszta wróżonych przez mądrego astrologa zawodów i niepomyślności tego zjazdu podobnież kiedyś się nie spełniła. I trwożono nie bez powodu.

III.

Już w następnym roku umarł Jagiellończyk Władysław. W jedenaście lat poźniej, w nieszczęśliwej bitwie z Turkami pod Mohaczem, zginął bezpotomny syn jego Ludwik. Korona czesko-węgierska przeszła na siostrę Annę, poślubioną po zjeździe Wiedeńskim z Ferdynandem Habsburskim. Z Anną przeszła korona „Hungarii i Bohemii" w dom austryacki, który dopiero tym posagiem jagiellońskim dzisiejszego w Europie znaczenia nabył, który ten posag i to znaczenie zezwoleniu Zygmuntowemu, Polsce zawdzięcza. . . . . . . .

---

## Tomko Prawdzic.

Wierutna Bajka

przez

**J. I. Kraszewskiego.**

(Ciąg dalszy.)

— Zwierzęta z krwią zimną drętwieją pospolicie na zimę z łatwością.— Płuca u ryb zmieniają się w dychawki i kanały rozchodzące się po całem ciele. Płodność zwierząt jest w stosunku odwrotnym gorącości ich krwi i zogniskowania życia.

— Patrz waść na co się to zdało doskonalszym urodzić i z gorącą krwią!

— Pojąć to łatwo że mniej doskonały, mniej w sobie uorganizowany twór, łatwiej się rozpładza, niż ten który życie mając w sobie skupione silnie, trudno się niem po-

dzielić może. Trzeba było ponęty najwyższej rozkoszy, żeby zmusić zwierzę do rozłamania, do podzielenia się życiem. Różnicę płci tak wybitne w wyższych organizacjach znikają zupełnie w polypach, które jak grzyby są obupłciowe i rozmnażają się bez ustanku. Im wyżej idziemy, tem różnice indywiduów czynnego i biernego stają się dobitniejsze. Kobieta względem mężczyzny jest przecie oddzielną istotą w porównaniu do lwa i lwicy.

Im zwierz doskonalszy, tem też organa pewne służą mu do oznaczonych stosunków, jednych drugiemi zastąpić nie może.

— Doskonała miara doskonałości, i z tąd jasno, rzekł Baron German, dla czego przy wyższej cywilizacji, dwóch też potraw jednemi widelcami nie jedzą.

— Już dosyć o zwierzętach? spytał Baron, prawda i tu jeszcze daleko.

— Chodźmy rzekł Tomko — dosyć w istocie słyszałem żeby w nic niewierzyć. Ale to wina methody, ludzie zbyt odważnie puszczają się bez faktów na morze synthezy, z tąd błędy.

— Myślisz że wielość faktów nagromadzonych zabezpieczy od błędu?

Ot chodźmy na lekcją logiki, a i o methodzie posłyszym.

— Chodźmy, zgoda.

XIV.

Drzwi były otwarte, sala prawie pusta, a w przyćmionym kątku cichy, powolny głos nauczyciela odzywał się do ławek. Wszystko do koła drzymać się zdawało snem bardzo logicznym. Kilku odważnych profesorów *in potentia*, z głowami podniesionemi do góry i usty wypukłemi od myślenia, zdawali się słuchać szczerze, ale myśl ich była podobno gdzieindziej.

Nauczyciel spojrzał z ukosa na Tomka i jego towarzysza i tak ciągnął dalej:

— Dwie są tedy wśród wielu główne methody — *analityka i syntetyka* . . .

— Przepysznie, rzekł Baron, słuchajmy rozwinienia.

— Methoda synthetyczna, którą także zgadującą zowią, panującą, była od najdawniejszych czasów do XVII wieku Bakonowi przeznaczonem było uzyskać nieśmiertelną sławę twórcy analyzy i zakładcy nowego gmachu...

— Za pozwoleniem, przerwał German, jeśli Nauczyciel pozwoli, uczynim objekcją. Bakon dotąd jest źle zrozumiany a Analyza i Synthesa źle pojęte — Jeżli wolno ja z ławki naszej postaram się rzucić na to wejrzenie bezstronne.

— Prosimy, rzekł powolny nauczyciel logiki; a na to niespodziane *dictum*, uczniowie oczy przetarli, pająki prząść przestały i mysz uczęszczająca na ciche lekcje logiki, z wielkim przestrachem w drobną dziurkę się zaszyła, poglądając co to się stało. Baron z okiem zaiskrzonem, zażywszy tabaki zaczął wyłuszczać stosunek Bakona do Scholastyki i skończył:

Syntheza i analiza są prawie jednem.

— *Horrendum et absurdum!* zawołali uczniowie.

Baron ciągnął dalej i tak skończył: Ani Analyza ani Syntheza, ani nawet obie razem spojone, nie uchronią nas od błędów i fałszów, przez które przechodzić musimy.

Dosłyszawszy tych wyrazów, Tomko zatknął uszy i uciekł, w chwili gdy nauczyciel ruszywszy tylko ramionami, odzywał się bez najmniejszego wzruszenia kończąc swą lekcję:

— Methodi analyticæ leges — 1° Conservanda est evidentia. . . . . .

Baron goniąc za swym towarzyszem, w korytarzu już krzyknąwszy, dodał:

— Ciekawy jestem, czy nie sprobuje dać definicji ewidencji! !

XV.

Wyszli na powietrze, Tomko potrzebował nieco ochłonąć, a Baron rzeźwy i niezwalczony, brzęczał mu nad uchem.

— Cierpliwości! musimy przecie odkryć gdzieś prawdę choćby na lekcji filozofji. —

— Dajmy jej pokój na dziś, proszę. —

— No, to sprobujmy może matematyki; jej prawdy przynajmniej są nieporuszone, niezmienne, przepotężne.

— Ale w martwych liczbach możeż być cała prawda! jakaż by była zimna, sucha i biedna.

— Dodaj kochanku że caluteńka matematyka ogólnie wzięta, redukuje się do tej ogromnej prawdy jedynej, że

$$a = a.$$

Tyle kłopotu, żeby na ostatku dojść zachwycającej głębokością formuły

$$a = a$$

— Jak to?

— Tak, kochanie moje. Condyllac i Szkoci mają w tem trochę słuszności. W istocie cała matematyka składa się na tę formułkę niepocieszającą, która niedaleko zaprowadzić może.

— Matematyka, odparł Tomek, jakkolwiek umysł ludzki podnosi, zaostrza wykształca, jest nauką ilości, zatem nauką z ciała wynikłą; a że ciało nie jest prawdą lub same przez się przynajmniej — nie jestem więc ciekawy i tej nauki.

— Kłaniam uniżenie, a dusza bez ciała?

— Dusza bez ciała może być, to pojmujemy, a ciało bez duszy?

— Ale to na naszym biednym światku?

— Tu? albo to tu koniec?

Baron zaśpiewał coś pod nosem niezrozumiałego i rzekł:

A więc chodźmy się ogrzać gdzie pokarmem myśli ruszajmy w dalszą pielgrzymkę —

— Nie — dziś, spoczniemy, rzekł Tomko, pójdę do domu, głowa mi się zawraca.

XVI.

Nazajutrz Tomko siedział zadumany i zniechęcony, gdy Baron German, pochwycił go za rękaw sukni, wstrząsnął i odezwał się.

— Takiż przecie, musisz pójść posłuchać, co mówią in *Alma Academia* o twojej kochance?

— Odpadła mnie ochota.

— Ale pójdziesz; posłyszymy na jednym korytarzu dwie przynajmniej odmienne definicje prawdy, a obie równie fałszywe, toć przecie warto kilka kroków — U S. Jana bije właśnie druga, chodźmy, chodźmy!

— A! idźmy kiedy chcesz.

— Jdziesz! cudo! admiruję twą męczeńską stałość i zapoznaną cnotę! Dowiesz się w nagrodę jednej a jedynej na świecie prawdy najpewniejszej; nie mówcie: że prawdy u nas całkiem niema.

Drzwi do sali w której czytano kurs filozofji były właśnie otwarte i nasi ciekawi przybysze weszli niepostrzeżeni między uczniów, którzy słuchając prelekcji jedni czytali Jdziego Blasa z Santyllany, drudzy pisali listy do rodziców, inni rozpowiadali sobie cicho swoje przygody na bulwarach. Nauczyciel którego obowiązkiem było mówić, nie być słuchanym, impavidus stał w katedrze i pędził poczęty kurs, *ad perfectam saturationem* uczniów.

— Cała filozofja mówił, dzieliła się dawniej na Dialektykę, Fizykę i Ethykę.

— Podział, dorzucił Baron German, który ma tę największą zaletę, że jest troisty, chociaż niedorzeczny; niemniej jednak troistość jest rzeczą prześliczną:

Długo mówił professor, długo szydził Baron, ruszał ramionami Tomko, aż nareszcie przyszli do prawdy. —

— Taki był wstęp do Logiki właściwej, za cel jej naznaczono wskazanie prawideł dochodzenia prawdy a unikania błędu. Tu mieściła się definicja prawdy i jej poznawania, definicja *criterium* czyli znamienia. Prawda mówiono, jest to zgodność poznania z przedmiotem.!

— A że przedmiot o tyle jest dla nas, o ile go poznajemy, określenie więc to redukuje się najściślej do—zgodności poznania z poznaniem, czyli

$$O = O$$

Tomko dosłyszawszy tych słów porwał się oburzony i chciał uciekać, Baron dogonił go w progu.

— Co tobie?

— Czyż jeszcze dalej mam słuchać?

— Przecież to historja twojej kochanki!

— Tak! dzieje jej nieszczęść. Na cóż serce sobie kaleczyć; chodźmy- nic się tu nie dowiemy. Pomimo usilnych Barona nalegań, który za nos wziął był biednego filozofa, Tomko nie dał się zawrócić i wybiegł na ulicę, ulicą w rynek, z rynku na przedmieście jak szalony — Baron German pędził za nim.

(Ciąg dalszy nastąpi)

---

## Widowisko na Obchód 4go Maja w Paryżu.

(*Z listu.*)

Głównym zmysłem Paryża jest *Wzrok;* Oftalmja możeby tu straszniejszą była klęską nad Cholerę. Paryżanin myśli, słyszy, pojmuje, sądzi... oczami. Niegdyś w Rzymie lud wołał: *Panem et Circenses!* Chleb, dla Paryża, zdaje się drugą dopiero potrzebą; przedewszystkiem oczy nakarmić pragnie.

Otoż dzisiaj temu patrzącemu milionem oczów mrowisku, Sardanapalową ucztę wyprawił Pan *Burocke* —; niby to na pamiątkę Konstytucji 4go Maja ... rozpoczętej. Mówię rozpoczętej — lecz nie skończonej; i niemającej końca — jak śruba Archimedesa. Mówią że gdzieś tam odśpiewano *Te Deum*; być może! Paryżanie, z natury swojej niedowierzający, tą razą przecież uwierzyli na słowo. Co ich tam miało obchodzić *Te Deum?* Widowisko — to co innego; od samego ranka na Plac *de la concorde* napływały massy. Mój Boże! pomyślałem, spojrzawszy na ten ocean główek, wtym milionie widzów, żadnemu może przez myśl nie przeszło: dla czego ta uroczystość? Gdyby to nie 4ty Maja, i nie w Paryżu — mniejby było przepychu, mniej blasku, mniej oczów — lecz ile serca! Tu, słońce pogodne świeciło tłumowi — mnie było chmurno w duszy. *Sic vos non vobis,* westchnąłem. Zazdrość kołatała do serca — cierpkie uczucie zatruło myśli — rzekłem sam do siebie:

Szczęśliwy kraju! Szczęśliwe te syny!
Gdzie każdy pełen narodowej dumy,
Jak młode orle z górnej swej krainy
Na pełzające zdala patrzy tłumy.
Odetchnie silno piersiami orlemi —
Przed blaskiem słońca nie mrugnie powieką —
I zostawując liche więźnie ziemi,
Wzbije się wolny, daleko — daleko!

Rzuciłem okiem — szukałem orłów — Orłów nie było... lecz dwa balony puszczone z placu — to są ich orły.

Ale wybaczcie — miałem wam pisać o tem com widział, a zamiast tego piszę co czułem. Coż robić! trudno się pozbyć tego natrętnika co się zwie serce. Oczy patrzą na to, co tuż — co obok: to biedne serce patrzy tak daleko!... Ha! Boże daj! Boże daj!

Poszedłem z placu — może wam potem spokojniej wszystko rozpowiem.

Kto raz był w Paryżu, ten niezapomni placu *de la Concorde;* mogłby go tylko z nazwiska niepoznać. Jakoż właściwie, nosił on długo nazwisko Ludwika XV. Poczciwi Jakobini, ściąwszy na nim głowę Ludwika XVI, przez to delikatne uczucie, do zbrodni łączące szyderstwo przezwali go placem Ludwika XVI. Dzisiejsi Republikanie, przez wzgląd na Izbę Reprezentantów obok stojącą, przezwali go *ditto* przez antytezę (odpuść im Panie!) Placem *de la Concorde.* Mniejsza tedy o miano: sam plac, pomimo tych przezwisk przedstawia najwspanialszy widok.

Wszystko tu na stopę olbrzymią mierzone. Wzrok obejmuje niezmierną przestrzeń; a wszędzie się opiera na potężnym gmachu, pysznej budowy; wszędzie spotyka wielkość i tem wrażeniem umysł przejmuje. Sezostrysowski pomnik stoi pośrodku między tryumfalną bramą pól elizejskich i gmachem tuileryjskim; pomiędzy Magdaleną i pałacem Izby Prawodawczej. W te niezmierne ramy, sam plac wpisany, łączy się z ogromem, i kolosalnym rozmiarem swych ozdób barwę jego przybiera. Obelisk, posągi, gmachy, fontanny; wszystko cokolwiek oko napotyka — wszystko jest wielkie — wspaniałe.

W tym duchu wzniosłym pojęte było i widowisko dzisiejsze. Dotąd zwykle tu z ludem postępowano jak z dzieckiem, któremu zawsze jedną i też samą opowiadają bajkę; dziecko zna ją na pamięć, a przecież się nią bawi: dziś już nie z dzieckiem, mówiono z młodzieńcem. Kilkuset wiekowy obelisk natchnął myślą poważną; przywdziano go w kolosalne ozdoby, jak on kolosalny czasy Egiptu przypomina; kazano mu uczcić pamiętną wyprawę francuzów; obok hieroglifów zapisano imiona wodzów i uczonych, którzy tę kolebkę nauk zwiedzili. Po czterech rogach placu wzniesiono tryumfalne łuki, odpowiedniej wielkości i stylu. Od kościoła Ś. Magdalenny aż do bramy na wierzchu pól Elizejskich rozstawiono czworoboczne słupy na kształt starożytnych ołtarzy, uwieńczone przez dzień koszami kwiatów, przy nocnem widowisku pałające ofiarniczym ogniem — pomiędzy niemi stały zawieszone tarcze, zbroje i chorągwie drogiemi kamieniami iskrzące się w nocy. Nowo wyrosłe posągi, karjatydy, naczynia powiązane sznurami pereł, uwieńczone kwiatami, wszystko to bez przesycenia, a wszystko kształtem i wielkością zgodne. Zgoła iż przez dzień, ta część Paryża, zmieniła się w Ateny; — lecz w te Ateny, o jakicheśmy marzyli młodymi będąc: kiedyśmy cnocie, i sztukom, piękności i poezji apoteozę wznosili.

Co się stało, gdy zapalono ognie, kiedy ten idealnej wielkości obraz, jak gdyby czarodziejską laską dotknięty, zasypał się od razu nieprzebraną ilością szmaragdów, ametystów, rubinów — kiedy te sznury pereł, najrzetelniejszych Pereł barwę przybrały; kiedy ognie bengalskie coraz to innym blaskiem powlekały to wszystko — kiedy fontany migały wodną zasłonką między warstwami ognia — kiedy gwiazd i kwiatów nieprzebrane mnóstwo rozmaitemi zajaśniały barwy — gdy białe płomienie gazu obok jaskrawych buchnęły kadzielnic — kiedy uwite z pereł żyrandole, jakimś dziewiczym przymilały się wdziękiem tego wszystkiego opisać nie umiem. Był to sen jakiś — jakieś widzenie innego świata — było tam mnóstwo, niezliczone mnóstwo duchów, czy ludzi — a wszystko ciche — jasne — niepojęte.... aż wszystko znikło... ja sam zostałem... ujrzałem tylko stojące szkielety kolumn i posągów — ich życie zgasło. Była już wtedy pierwsza po północy.

---

## Korespondencja literacka.

Czeski dziennik „*Pražsky Veczerni list*" donosi iż dnia 11. Maja polscy literaci *Gojdo* (zapewne *Gajda*) i *Branięcki* (?) których w zeszłym roku jako prostych do pułku *Wellington* zaciągniono, w skutku „*superarbitrium*" na wolność puszczeni zostali. *Jan Zacharjasiewicz* zaś i *Ign. Kamiński* w tym samym pułku służący mają zostać nadal w służbie i zostali odesłani napowrót do *Terezina* (Theresienstadt.)

Czeskie pismo „*Vczela*" poświęcone rozrywkowemu pismiennictwu zawiera wezwanie do czeskich autorów obznajomionych z językiem polskim i rossyjskim, ażeby tłumaczyli dobre dzieła beletrystyczne, w tychże językach pisane na czeski.

Przybyli do Lwowa *p. p. Szpakowscy* bracia, z których jeden gra na fortepianie drugi na skrzypcach, dadzą w poniedziałek t. j. d. 27 Maja koncert w tutejszym teatrze. Obaj młodzieńcy (żaden niema 20 lat,) odznaczający się w grze swojej szczególną dokładnością śpiewnością i siłą, są uczniami, Mendelssohna, Fischhofa i F. Dawida. i zajmą niezawodnie w rzędzie narodowych artystów niepospolite miejsce.

---



---


Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie**, przy ulicy krakowskiej pod l. 77.